

Jan Sikorski

część III z VI

Sygnatura notacji: **N0061**

Data urodzenia: **12.11.1935 r.**

Data nagrania: **28.08.2007 r.**

Miejsce nagrania: **Warszawa, Polska**

Prowadzący rozmowę: **Bogdan Krawczyk**

Czas nagrania: **część I: 61 min, część II: 62 min, część III: 55 min,
część IV: 56 min, część V: 60 min, część VI: 22 min,**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Ksiądz Jan Sikorski: Ktoś mnie pyta: „Słuchaj, a ty nie zostałbyś biskupem?” Ja mówię: „Widzisz, ja zawsze wolę, jak mnie zapytają dlaczego nie zostałeś biskupem, jak gdyby mnie mieli pytać a dlaczegoś ty zostałeś biskupem? Wtedy byłoby gorzej”. No, ja mam tę przyjemność, że jeżeli ktoś mnie o to zapyta, to zapyta mnie: „Dlaczegoś nie zostałeś?” Ja myślę, że chętnych księży i takich, którzy się nadają na biskupów jest bardzo wielu, ale zapotrzebowanie jest tylko na kilku diecezjach. No, i dlatego wybór pada z Ducha Świętego i z woli Ojca Świętego i tam wszystkich kolejnych jego dykasterii. Akurat no, na takiego czy innego. Czasem jest taka sytuacja, że akurat – jeżeli to w tych kategoriach ujmemy, że komu się to udaje – bo akurat w danym momencie było zapotrzebowanie właśnie na takiego jak on, a kiedy indziej był świetny cały czas, na przykład, ale akurat w momencie, kiedy mógłby zostać, to zapotrzebowania akurat nie było. To są różne i ludzkie, i Boże sprawy. One się ze sobą wiążą. Tak że to jest jakoś zawsze taka niespodzianka. I kolejni kandydaci, których pytają: „No, jak to się stało?” mówią: „A, byłem zaskoczony”. No, i zwykle jest, że to po prostu jakoś tam różnymi drogami to się. Ksiądz Wyszyński mógł być zaskoczony, że został prymasem. Być może, że był, bo człowiek tej klasy ma taką samoocenę odpowiednią, a ludzie, którzy są naprawdę wielcy, to na ogół oceniają siebie dosyć krytycznie. To tylko ludzie, którzy z tą samooceną mają kłopoty, uważają się zawsze za najlepszych. Więc sądzę, że on też mógł być zaskoczony, chociaż być może się domyślał, że już oko kardynała Hlonda na nim spoczęło, bo wyraźnie był jakoś promowany przez kardynała Hlonda, który miał okazję go poznać, i odpowiednio docenić. No, i czasem tak jest właśnie, że ktoś jest akurat w danym momencie, gdzie trzeba dostrzeżony, a czasem akurat nie. Jak na szczęście kardynał Wyszyński został, pojawił się we właściwym czasie właściwy człowiek i przez właściwego człowieka został dostrzeżony. No, i dzięki temu mamy Prymasa Tysiąclecia. Powiedział ksiądz, że na biskupa mieć trzeba pewne przygotowanie. Ksiądz Wyszyński niewątpliwie miał bardzo

bogate doświadczenie życiowe, zanim został prymasem. Przygotowanie naukowe, to jest potwierdzone tytułem naukowym. Potem prowadził wykłady. Miał za sobą też już jakąś karierę pisarską, bo już przed wojną zresztą pisał artykuły. Poza tym znał się doskonale na sprawach społecznych. Akurat w tym czasie bardzo potrzeba było kogoś, kto się zna na sprawach społecznych w zetknięciu komunizmu, który szedł z Rosji z tym, co tutaj mieliśmy w Polsce. Myślę, że poza walorami osobistymi, takimi już kapłańskimi, człowieczymi, to jeszcze jego właśnie to przygotowanie. Może to właśnie jakaś łaska Boża sprawiła, że on właśnie zajął się tym, co trzeba, już przed wojną. To znaczy, była jeszcze szkoła Lasek i było doświadczenie wojenne. Poza tym doświadczenie wojenne. On umiał i był zaangażowany w sprawy takie narodowe, patriotyczne, zresztą nawet w sposób czynny, bo przecież w Laskach tam kapelanował w tym podziemiu i jakoś tego się nie bał. Poza tym studia też zagraniczne, znajomość języków, zwłaszcza języka włoskiego. Mówił podobno, mówił akcentem takim czyściuteńkim włoskim.

Bogdan Krawczyk: Pamięta ksiądz pierwsze spotkanie z prymasem Wyszyńskim?

Ksiądz Jan Sikorski: Pierwsze spotkanie to było wtedy, kiedy przystąpiłem do seminarium, i on do nas przychodził, do kleryków, zresztą chętnie przychodził, a czasem nawet nas brał do siebie do tego prymasowskiego domu i tam do nas przemawiał. No, za każdym razem to czuło się jakąś moc, która z niego emanuje, i to jakoś mnie tak ujęło, bo to nie tylko sława jego i powiedzmy taka opinia wśród ludzi, wśród cięży, jaka krążyła, ale ten kontakt osobisty. Wiem, że jakoś ta propaganda przeciwko prymasowi dotykała również nas w seminarium nieraz. I tak człowiek patrzył, no może już w późniejszych latach, że może ksiądz kardynał. –

Bogdan Krawczyk: A który to jest rok?

Ksiądz Jan Sikorski: Pierwszy raz spotkaliśmy się, pierwsze spotkanie moje, to było rok 1952, to było, kiedy wstąpiłem do seminarium. To wtedy były pierwsze spotkania, potem zaistniała przerwa i później, po roku pięćdziesiątym siódmym te spotkania były coraz to częstsze.

Bogdan Krawczyk: A ta wyprawa do Komańczy?

Ksiądz Jan Sikorski: Przypomnijmy jeszcze raz, skrótowo jakoś. Wyprawa do Komańczy odbyła się tuż przed jego wyzwoleniem, przed jego zwolnieniem. To był rok 1956. Sierpień, dokładnie to było w sierpniu. Nawet obrazek od niego dostałam właśnie z datą sierpniową. I wtedy to już była właściwie, myśmy nie wiedzieli, że to jest końcówka więzienia, ale było to uwięzienie stosunkowo najdelikatniejsze, bo te poprzednie były utajnione, natomiast tu wszyscy wiedzieli, gdzie się znajduje, i nawet czasami tak bywało, że mógł ktoś go odwiedzić. Niektórzy otrzymywali pozwolenie na to. My jako klerycy oczywiście nie mogliśmy marzyć o takim pozwoleniu, więc jedyną drogą, jeżeli byśmy chcieli do niego dotrzeć, to była droga nielegalna przedarcia się.

Bogdan Krawczyk: Czyli skąd dokąd?

Ksiądz Jan Sikorski: Wystartowaliśmy koło Zakopanego, z Murzasichla. Tam mieliśmy taki obóz integracyjny,

my, klerycy seminarium, pod przewodnictwem księdza ówczesnego prefekta seminarium, Kazimierza Romaniuka. No, i na zakończenie tego obozu, zamiast jechać grzecznie z kolegami do Warszawy, z księdzem Jerzym Chowańczakiem, wybraliśmy się rano, nie mówiąc nikomu w ogóle, że wychodzimy, i dokąd idziemy, tylko, no, tak sobie idziemy gdzieś przed siebie. Potem już się nie pokazaliśmy na tym obozie, który zresztą był w stanie likwidacji. Więc to może nie było jakieś przestępstwo wielkie, no, i po prostu tak pieszo szliśmy sobie przez Szczawnicę, przez Ryto, przez Krynicy. Właściwie jeszcze do Krynicy to się szło bardzo łatwo, bo jeszcze były jakieś szlaki, tylko właśnie za Krynicy, pamiętam już bardzo blisko Krynicy straciliśmy w ogóle wszelkie szlaki i wszelką orientację, i potem żeśmy się przedzierałi z jakimiś kijami w rękach, kierując się trochę niebem, bo nawet kompasu nie mieliśmy ze sobą, jakąś bardzo, bardzo ogólną mapę Polski, taką wcale nie krajoznawczą.

Bogdan Krawczyk: Jak było z prowiantem?

Ksiądz Jan Sikorski: Byliśmy dosyć ryzykanccy tacy, bo mieliśmy jedynie trochę słodyczy przy sobie. Żadnych takich rzeczy do gotowania, czegoś takiego nie było. Pamiętam, że po drodze rzuciliśmy się na jakieś dziwne rzeczy, spotkaliśmy akurat dwa krzaki agrestu, więc żeśmy ten cały krzak, pamiętam, zjedli tego agrestu. Tak dokładnie od początku do końca.

Bogdan Krawczyk: Owoce? Bo rozumiem, że zielone zostały?

Ksiądz Jan Sikorski: Zielone jeszcze zostały na szczęście. Niewiele brakowało, byśmy i to zjedli. Ale tak się jakoś szczęśliwie składało, że gdzieś tam przed nocą zwykle pojawiała się jakaś plebania, szukaliśmy kościoła. Więc gdzieś tam trochę mieliśmy szczęścia, że ten nocleg nigdy nie odbył się w lesie. Zresztą nie mieliśmy na to żadnych warunków, żadnego koca, plastiki wtedy jeszcze nie istniały, więc nic takiego przeciwdeszczowego nie było. No, i udało nam się dotrzeć. A już ostatnia noc to była całkiem kulturalnie w Jaśliskach, niedaleko Komańczy u księdza na plebanii, którego właśnie napadliśmy, niemalże w nocy. Była bardzo późna noc, on siedział przy stoliku, mówił brewiarz. Chyba tam nawet jeszcze światła nie było, nie wiem. Wiem, że było dosyć ciemno. Myśmy weszli i jakoś przywitani go. On był w ogóle zaskoczony, drzwi były otwarte do mieszkania, zaskoczony, że ktoś o tej porze. Klerycy z Warszawy, udzielił nam noclegu, ale potem mówił, że całą noc nie spał, bo jakichś dwóch po ciemku przyszło, mówi: oni mnie tu chyba zarżną. No, i na wszelki wypadek nie spał. Rano, kiedy poszliśmy do Sióstr Sercanek, odprowadzić Mszę świętą – on odprawiał, bo myśmy byli klerykami, myśmy asystowali – to bardzo się przyglądał, czy orientujemy się w odprawianiu Mszy świętej, czy ta łacina nie jest nam obca. No, i kiedy zobaczył, że przy ołtarzu czujemy się jak ryby w wodzie, to się dopiero przy śniadaniu uśmiechnął i opowiedział nam wszystko, jaką właśnie straszliwą noc spędził. Jemu powiedzieliśmy wtedy, że idziemy właśnie do Komańczy. Nie był taki rozentuzjasmowany, no, bo mówi, że to się może dla nas źle skończyć. Tym niemniej wyprowadził nas właśnie poza te Jaśliska, nawet jest zdjęcie pod drogowskazem Komańcza. I tamto zdjęcie nam zrobił i już sobie dalej poszliśmy. Zresztą, z tym księdzem potem spotkaliśmy się nieraz. Utrzymywaliśmy dobry kontakt.

Bogdan Krawczyk: To jest to zdjęcie z odwróconym drogowskazem?

Ksiądz Jan Sikorski: Tak. Myśmy to sami odbijali potem w seminarium tak amatorsko z takiej ciemni seminaryjnej.

Bogdan Krawczyk: Jaki był klimat w ogóle sierpnia, klimat społeczny, czy czuło się jeszcze ten strach stalinowski?

Ksiądz Jan Sikorski: Bo rozumiem, że mieliście pewną misję, którą trzeba było wypełnić, przynajmniej przed sobą. Właściwie to już były czasy poststalinowskie. Zaczynało się tak troszeczkę łamać w tym klimacie. Ale ja przynajmniej pamiętam, aczkolwiek były dramatyczne te czasy, to jednak myśmy zawsze mieli do tego taki duży dystans i dużą nadzieję, że to wszystko jest jakiś zły, czarny sen, który przechodzi i który musi minąć. W tym momencie, w roku 1956 od śmierci Stalina już kilka lat minęło. A więc już te zmiany takie tam zaistniały. I przynajmniej ja osobiście, jako młody chłopak, miałem to poczucie, że to się skończy prędzej czy później, że to się skończy, że to nie jest coś, co będzie trwało dalej. Prymas był internowany, więc wy byliście na nielegalnej wyprawie. Tak, oczywiście, ale to internowanie, ono jednak łagodniało. I wtedy, kiedy zadałem pytanie takie dziwne Księdzu Prymasowi: jak długo spodziewa się internowania? Tak się wtedy uśmiechnął, pytanie było przecież bardzo naiwne. No, i odpowiedział mi wtedy: „Oni mnie tak tutaj kochają, że ja tutaj pozostanę długo”. Ale nie przewidywał szybkości tych zmian. I myśmy też nie przewidywali. No, podobnie jak w czasach Solidarności nagle przychodzi taki wiatr. Natomiast, gdy chodzi o tendencję, byłem przekonany, i nie tylko ja, że po prostu to prędzej czy później musi paść, i z tym optymizmem w sercu jakoś trwaliliśmy. Stąd też i ta wyprawa była jakoś z nadzieją, że to jakiś tam schyłek jest tego, że to się kończy, że to nie będzie trwało zawsze. 51 lat temu jakbyśmy zajrzeli do głowy kleryka, jaką miał wtedy wyobraźnię, co sobie kleryk wyobrażał, że, co to jest? Pensjonat, co to jest? Stoją żołnierze na warcie? – Przyznam się, że wtedy myśmy w ogóle nie zdawali sobie sprawy z tego, co to jest, bo w ogóle problem internowania to słowo dla nas takie, gdzieś mówiło się jeszcze w trzydziestym dziewiątym roku: Rumunia, internowanie, coś takiego, jakieś strzępy wiadomości dochodziły, a tutaj nie było wiadomo. Było wiadomo, że Prymas jest w klasztorze, czyli że jest u sióstr, tylko nie wiedzieliśmy, czy tam pod bronią jest strzeżony, czy jak, no, więc trudno to było sobie tak dosłownie wyobrazić. Natomiast, czym jest klasztor, no to, powiedzmy, no, każdy z nas cokolwiek wiedział na ten temat. Więc wiedzieliśmy, że nie jest to już jakaś cela, twarde łóżce, czy jakieś tam dolegliwości szczególne, natomiast bardziej nas interesowała sama osoba, jak Ksiądz Prymas wygląda w ogóle. Już tak się nam pamięć troszkę zacierała Prymasa takiego w pełni sił. Natomiast, jak dzisiaj oglądam zdjęcia z Komańczy, to Ksiądz Prymas no nie wyglądał tak rozkosznie, był jednak wymizerowany, i nawet jakoś tak w twarzy czuło się to zmęczenie. Chociaż Ksiądz Prymas miał w sobie coś takiego, że jak rozmawiał bezpośrednio, jak miał do czynienia z ludźmi z zewnątrz, tam wydobywał z siebie jakąś siłę i jakiś pewien urok taki, że z przyjemnością się na niego patrzyło, obcowało się i jakoś człowiek tak podziwiał go jako człowieka. I tak wtedy ja go odebrałem, z takim naprawdę ogromnym podbudowaniem serca. Zdziwiony byłem, że nie jest jakiś skrzywiony, nie narzeka, tylko jest pełen taki optymizmu i nas młodych wtedy kleryków podjął z radością. Ja tylko miałem jedną wątpliwość, jak ja się mu pokażę w krótkich spodniach, z zetempowskiej koszuli, w brudnych tenisówkach, które kiedyś były białe, a po tej wycieczce wyglądały strasznie. Więc to bądź co bądź, to majestat, to przecież arcybiskup, no, właściwie kardynał, a tutaj my wtedy sobie klerycy. Więc tego typu miałem wątpliwości bardziej.

Bogdan Krawczyk: Jak was przyjął? Gdzie w ogóle?

Ksiądz Jan Sikorski: Zszedł do nas w takim pokoju, jakimś recepcyjnym, właśnie to był chyba nawet i stołowy pokój, bo potem jedliśmy tam obiad. Przyjął nas bardzo, bardzo serdecznie, bardzo ciepło. Powiedział, żebyśmy się rozgościli, żebyśmy tutaj zostali trochę dłużej, i że zaprasza nas na obiad. Wkrótce właśnie ten obiad się na stole pojawił. Usiedliśmy, no, i tam była taka wspólna rozmowa. Ksiądz kardynał potem wyszedł na chwilę i wrócił z już troszkę taką bardziej miną smutną, bo powiedział: „Niestety musicie uciekać, dlatego, że już o was wiedzą i za chwilę was tutaj na pewno złapią”. Więc musieliśmy tam ten obiad dokończyć szybko. Dał nam czekoladę, powiedział: „Ja was odprowadzę”.

Bogdan Krawczyk: Jedną?

Ksiądz Jan Sikorski: Nawet nie pamiętam, to chyba była jedna czekolada. Czekolada wtedy była w ogóle rzadkością, wiem, że była z orzechami. Wiem, że była z orzechami. Są dwie wersje tej opowieści, że po czekoladzie dostaliśmy. Możliwe, że były dwie. Ja już w tej chwili nie pamiętam dokładnie. Możliwe że były, na pewno była to czekolada z orzechami. To chyba może i dwie rzeczywiście, bo nas było dwóch w końcu, nas było dwóch. Ale już w tej chwili tak bym nie przysięgł tego, jak to było. Tak, chyba tak, chyba jednak tak, po czekoladzie, bo ja potem zawiozłem to do rodziców, pokazałem tę czekoladę i myślałem: kiedy my ją zjemy?

Bogdan Krawczyk: Znalazł się ktoś odważny, żeby ugryźć?

Ksiądz Jan Sikorski: Chyba właśnie u moich rodziców żeśmy tę czekoladę otworzyli i ją zjedliśmy wtedy. Już było po wszystkich wydarzeniach, po wakacjach, prawie po wakacjach, po wszystkim. Jeszcze podrążymy temat, bo ksiądz tak ładnie powiedział, że Prymas był u siostr. Owszem klasztor, owszem siostry, ale tam byli jednak trochę inni gospodarze, włodarze, powiedzmy. Jak wchodziłem do tego klasztoru, to zauważyłem, że to był pod klasztor.

Bogdan Krawczyk: Jak kleryk się tam dostał, mimo tego przebrania młodzieżowego?

Ksiądz Jan Sikorski: Już to chyba opowiadałem, nie?

Bogdan Krawczyk: Ale przybliżmy sobie to.

Ksiądz Jan Sikorski: Więc opuszczamy Jaśliska, zbliżamy się powoli właśnie do Komańczy, nie wiedząc w ogóle, jak ona wygląda i gdzie ten klasztor się znajduje. No, ale idziemy po prostu przed siebie, patrzymy, co będzie. Gdzieś widać z daleka domy. Schodzimy tak z gór jakąś drogą taką marną, i z daleka widzimy, że jest szlaban i stoją żołnierze. Aha, no, to oczywiście już wiedzieliśmy, że coś się dzieje. Wobec tego zrobiliśmy szybko skok z powrotem do lasu, który tam obok rósł, no, i po prostu tak w rowie leżąc, patrzyliśmy, co się dzieje. I widzieliśmy, że ci żołnierze, jeżeli ktoś idzie, to tam zatrzymują i legitymują. No, to wiadomo, że tej bariery nie przejdziemy. Tylko nie wiadomo, w którą stronę iść dalej. I uratowała nas siostra zakonna, która szła w stronę żołnierzy, ona tam z nimi chwilę rozmawiała i poszła drogą do lasu, niosąc jakieś paczki. No, więc wnioski były proste: siostra zakonna sama do lasu z paczkami – wiadomo, że nie na grzyby, tylko na pewno wraca do klasztoru. No, więc zaczęliśmy takim łukiem przez ten las,

żeby nas nie zauważyli żołnierze. Jeszcze trzeba było przejść zresztą pod torami, tam chyba jakimś kanalikiem, pod torami kolejowymi, żeby do tego lasu dotrzeć. I zaczęliśmy iść tak, żeby z dala od tych żołnierzy z siostrą, żebyśmy się mogli w lesie spotkać. I tam: „Niech będzie pochwalony. My siostrze pomożemy nieść te paczki”, które niosła ze sobą. „A proszę bardzo. Ale dokąd wy tu idziecie?” No, i wtedy padło właśnie to słowo, że idziemy tutaj do klasztoru odwiedzić swojego kolegę, myśląc właśnie o siostrzeńcu Księdza Prymasa, który też był klerykiem, i spodziewaliśmy się, że może tam właśnie będzie. Wiem, że popatrzyła tak na nas podejrzliwie, powiedziała: „O cwaniaki!” – tak sobie rzuciła do siebie. A my grzecznie te paczki żeśmy jej tam nieśli. Przed samym klasztorem powiedziała: „To już zostawcie te paczki, a dalej pójdę sama”, i już nie chciała z nami mieć tam żadnego kontaktu. Weszła do klasztoru i myśmy odczekali chwilę, poszliśmy. I tam właśnie – to był piętrowy budynek – widziałem, że na pierwszym piętrze tam ktoś się kręci, jakaś twarz się tam pokazała, ale myśmy tam zapukali do pierwszych lepszych drzwi. No i tam długo, długo przedstawiając się, kim jesteśmy przez drzwi, i dość długo czekaliśmy, aż się ten nasz kolega Włodek Sułek pokaże. Po dłuższym czasie Włodzio zszedł. Mówi: „Ach, to wy jesteście”. No, i wtedy pamiętam właśnie była ta rozmowa: „Bo mnie tu powiedzieli, że tu jakiś Sikora przyszedł” – przekręciła siostra nazwisko – i mówię: „Ja nie znam żadnego Sikory. Poszedłem do wuja i wuj mówi: »nie wychodź, bo to jacyś tam UB-owcy pewnie są«”. Ale Włodzio był ciekawy, kto też może go szukać nagle w takim odludziu? No, i zszedł. No, i dzięki temu oczywiście weszliśmy. Wtedy powiedział: „Dobrze, to za chwilę wuja zawiadomię”, no, i z bijącymi sercami, żeśmy czekali. Prymas wyszedł, otworzył ramiona, bardzo nas serdecznie powitał. I tak jak wspominałem, potem już zaprosił właśnie na obiad, który tam żeśmy z wielką treścią spożywali, i później, kiedy na jakiś czas odszedł, właśnie powiedział, że za chwilę musicie uciekać stąd, bo już oni zaczynają biegać na górze. To już wiem, że tam są tacy, którzy mnie pilnują, którzy tutaj bardzo się o mnie troszczą. Właśnie wtedy padło to pytanie: kiedy zostanie zwolniony. On mówi: „Zobaczcie, jak mnie tutaj kochają, tak mnie kochają, że mnie prędko stąd nie puszczą”. Tak sobie żartobliwie to opowiadał. –

Bogdan Krawczyk: Prymas był na dole. A pierwsze piętro?

Ksiądz Jan Sikorski: Być może on mieszkał też na tym pierwszym piętrze, bo on wychodził z tego pokoju, z tego, powiedzmy, stołowego pokoju czy takiej rozmównicy klasztornej. Gdzieś wychodził, więc nie wiem, czy szedł na piętro, czy szedł w dalszą część tego budynku. Tego już nie wiem, bo u niego tam w tym miejscu, gdzie on miał swoją sypialnię, to nie byłem. W każdym razie była tam jeszcze też jego siostra Danusia, i nawet pamiętam powiedział: „No, to ja jeszcze tutaj pójdę z Danusią i z Włodkiem was odprowadzimy”. No, i rzeczywiście przyszła ta Danusia, siostra. Tak, siostra chyba albo córka siostry. Albo siostrzenica. Nie, nie, to chyba była siostrzenica. Przepraszam, ona była dosyć młoda, to musiała być siostrzenica. Tak, ta Danusia to była siostrzenica. To była siostrzenica. I Włodek. Z tym, że oni gdzieś potem jak gdyby po drodze zginęli, tak że myśmy jakoś szli przodem w trójkę z Księdzem Prymasem. No, i potem, jak już pokazał nam z daleka stację kolejową Komańcza-Letnisko i akurat pociąg, który na tej stacji stał, jedyny w ciągu dnia, który tam docierał, no, to mówi: „To biegniecie teraz prędko do pociągu”. Właśnie wtedy dostaliśmy tę czekoladę – czy też czekolady – jako pamiątkę, mieliśmy takie chlebachki, tylko małe, nawet nie mieliśmy plecaków ze sobą, tylko takie małe chlebak. Bardzo to nieroztropne wszystko było. No, i jak się obejrzałem, to pamiętam, że tak stała taka piękna jego postać i z daleka błogosławił nam, taki znak krzyża za nami, kiedy żeśmy tam już biegli do tego pociągu. No, rzeczywiście bardzo, bardzo prędko, przez jakieś tam, pamiętam, zagrody, przez płot przeskakivaliśmy, tylko mi jedna noga w gnojówkę wpadła. No, i potem żeśmy właśnie dobiegli do pociągu

i wsiedliśmy od czoła tego pociągu, wychodząc nie z peronu, tylko z tej właśnie drugiej strony. Prawie żeśmy do tego pociągu wskoczyli, bo on za chwilę ruszył, czy już nawet ruszał, nie pamiętam dokładnie. W każdym razie bardzo zasapani w tym pociągu, szczęśliwi i potem, patrząc tam z daleka już na ten horyzont, ale było dla mnie taką radością, kiedy właśnie pociąg przejechał koło tablicy „strefa nadgraniczna”. No, to myślę sobie: „Teraz już możecie robić, co chcecie”. Rzeczywiście wkrótce wopięści do nas podeszli, być może, że i konduktor, no, i tam zaczęli nas legitymować. No więc, wtedy już zupełnie [niezrozumiałe] mam całkowite, przez ramię, pamiętam, że specjalnie przez ramię podałem legitymację, że nawet w twarz nie patrzyłem tym, że mi to jest zupełnie obojętne. Oni tam tę legitymację oglądali. I oddali. U konduktora kupiliśmy bilety, no, i wyprawa była za nami. Ładnie to Opatrzność wyreżyserowała. Tak to się czuło, że to jakoś szczęśliwie wszystko szło, i nawet bardzo nam jako klerykom zależało, żeby być też tam na Mszy świętej. Właściwie prawie, chyba nawet nie prawie, chyba codziennie nawet byliśmy gdzieś, udało się nam dotrzeć właśnie na Mszę świętą, gdzieś się zatrzymać. Nie bez kozery pytałem, jaka była wyobraźnia kleryka, jak ruszał z Murzasichla.

Bogdan Krawczyk: Czy człowiek w ogóle jest sobie w stanie wyobrazić, co go czeka?

Ksiądz Jan Sikorski: Zupełnie nie, dlatego że Bieszczady były tylko dla mnie, słowem takim bardzo rzadko znanym, mało kto w ogóle mówił o tych Bieszczadach. Mieszkalem kiedyś z księdzem Markiem Starowiejskim w seminarium, o taki jest turysta zapalony i on właśnie kiedyś wspominał o tych Bieszczadach. Nie bardzo wiedziałem, gdzie to jest. Dopiero tam się na miejscu dowiedziałem, gdzie są te Bieszczady i jak to wygląda. Czasem lepiej nie wiedzieć, tylko zaufać w takim razie. Gdybyśmy to sobie przewidzieli i przemyśleli, no, to byśmy się nie ruszyli. Moment taki jak gdyby lekkiego załamania miałem tylko raz, kiedy nocowaliśmy w schronisku w Szczawnicy, i tam kierowniczką – zresztą bardzo sympatyczną – jakoś tak koniecznie starała się dowiedzieć kim jesteśmy. Myśmy oczywiście nie mówili ani, że klerykami, absolutnie nic, a tym bardziej, że do Komańczy, ale tak sympatycznie z nami rozmawiała i wtedy tylko powiedziała: „Gdzie wy idziecie?” – Tam idziemy, na wschód. Mówi: „No, to nie bardzo”. Właściwie, wtedy padało chyba też o Bieszczady. Ona mówi: „Słuchajcie, tam może iść tylko co najmniej 20 osób z lekarzem i surowicą, bo są po drodze żmije”. No, i przyznam się, że wtedy lekko się wystraszyłem, tym bardziej, że następnego dnia zaraz tam te żmije gdzieś się tam na słońcu wylegiwały i trzeba było jakoś je tam otoczyć. No, myślę sobie, ta surowica i to, ale jakoś widocznie na moim koledze nie zrobiło to wielkiego wrażenia, bo tego wątku nie podjął. Ja się już oczywiście też swoimi obawami nie chwaliłem, no, i po prostu śmiało poszliśmy naprzód. Wrzucę jeszcze taki wątek poboczny: film „Prymas. Trzy lata z tysiąca”.

Bogdan Krawczyk: Jak ksiądz odebrał tę ekranizację i sylwetkę w ogóle prymasa Wyszyńskiego?

Ksiądz Jan Sikorski: Różne osoby z różnej strony jakby znały, nie wiem, czy ktokolwiek może sobie powiedzieć, że znał dogłębnie prymasa Wyszyńskiego. Ja tylko miałem zawsze taki cichy żal, że taka wspaniała postać jak Prymas nie jest ukazywana w mediach. Raz pamiętam, Ksiądz Prymas przemawiał po przewrocie Gomułki na Boże Narodzenie, i pamiętam nawet, co wtedy mówił, ten jego piękny głos przez radio. No, i to był ewenement. A potem te różne kroniki filmowe i to, że oni nie pokazują Prymasa. Przecież samo pokazanie jego na tle jeszcze ówczesnych tych władz, i ten Gomułka, i to wszystko, takie popłuczyny, i myślę sobie, jakby na tym tle stanął ten książę Kościoła,

to ludzie by się właśnie dowiedzieli, kim jest Ksiądz Prymas. I dlatego bardzo się cieszyłem z każdego filmu, z każdej ekranizacji. W tej chwili już mi się tam troszeczkę te obrazy zlewają, który film jest który. W każdym razie jedno zapamiętałem. Z dużą satysfakcją oglądałem film ze spotkania w Ambasadzie Polskiej we Włoszech. Było takie spotkanie, gdzie brał udział również Gierek, który już miał postawę nie taką, jak Gomułka, nie trzeba było się go tak bardzo wstydzić. Natomiast tam, kiedy pokazano obu mężów, jak tam wchodzi, prawda, na salę, siadają przy stole, zaczynają rozmowę prowadzić, no to wtedy widać było, że Prymas przytłumił absolutnie wszystkich. To taki widz tak z zewnątrz, nie miał wątpliwości, kto tu jest tym największym i najważniejszym. Był swobodny, rozluźniony, w przeciwieństwie do tych naszych panów. No, ale niejako Prymas był w Rzymie, więc właściwie u siebie. I dlatego każda taka ekranizacja i ukazanie Księdza Prymasa na takim forum publicznym, zewnętrznym, było dla mnie czymś bardzo znaczącym. W tej chwili już trudno mi mówić o szczegółach tego filmu. Czego ja szukam? Szukam nie sylwetki właśnie, ale tego wyrazu. Użył ksiądz słowa „majestat”. Nie byłem w Komańczy, ale widzę prawie, że pomnikową postać Księdza Prymasa, który czyni ten wyrazny... Krzyż, tak, tak. To wtedy już wiadomo, z kim mamy do czynienia. Tak, to było rzeczywiście, tak jak wspominałem kiedyś, że ja nie umiałem mieć idola, po prostu nic takiego nie istniało, jakoś zawsze z dystansem patrzyłem na wszystkich, z szacunkiem, ale z dystansem. Człowiek, to jest człowiek, nie ma się co zachwycać. Natomiast rzeczywiście Ksiądz Prymas w moim życiu był tutaj swego rodzaju wyjątkiem. Ja nie byłem jakoś tak ślepo zapatrzone, bo potrafiłem też krytycznie patrzeć, zwłaszcza później troszeczkę. Ulegałem trochę tej propagandzie, że tam Ksiądz Prymas, to już troszeczkę zachodzące słońce, że może to spojrzenie jego na Kościół jest takie zbyt tradycyjne. Odrobinię ulegałem, ale do momentu, kiedy się z nim spotkałem, jak go zobaczyłem, stanąłem naprzeciwko niego, jak usłyszałem, co mówi, to mi te wszystkie wątpliwości, nzebierane przez jakieś tygodnie czy miesiące niewidzenia wprost Księdza Prymasa natychmiast wypadały. Więc dla mnie samego było to zaskoczenie, że jeszcze przed chwilą patrzę: Ksiądz Prymas, tak, no właśnie, i tu nagle on się do nas odezwał, jak przyszliśmy: „Aha, tu młody las”. No, i tylko te dwa zdania powiedział, ja je do dzisiaj pamiętam. To był tego typu człowiek.

Bogdan Krawczyk: Potem, kiedy następne spotkanie z Prymasem?

Ksiądz Jan Sikorski: Już takie przed święceniami kapłańskimi. Ksiądz Prymas rozmawiał z każdym z nas. Oczywiście było nas bardzo dużo, ta rozmowa była taka bardzo krótka, ale pamiętam, że tak zaglądał mi w oczy i pytał, czy czytałem pontyfikał. Ja wiem, że za bardzo to nie zaglądałem. Jakoś tak dyplomatycznie próbowałem odpowiedzieć. Ale tak mnie punktował, że się zorientował, że ja za mało to znam. Trochę widziałem od razu, że to zawahanie moje od razu odkrył. Ale tym niemniej nie dał mi tego zauważyć, rozmowa była sympatyczna.

Bogdan Krawczyk: Nie zawstydział?

Ksiądz Jan Sikorski: Nie zawstydział, chociaż mógł, bo wtedy to dla niego było oczywiste, że ja tak troszkę próbuję dyplomatycznie odpowiadać. I potem już, kiedy byłem właśnie w parafii w Skierniewicach, tym oryginalnym subdiakonem wikariuszem...

Bogdan Krawczyk: Co to znaczy oryginalny subdiakon?

Ksiądz Jan Sikorski: Oryginalny subdiakon, bo ja skończyłem normalnie studia i znaczna część moich kolegów została wyświęcona na kapłanów, ja natomiast byłem za młody. Trzeba mieć 24 lata. Dyspensa biskupia była rok, papieska półtora roku, a mnie nawet nie sięgała dyspensa papieska, tak że nawet Ojciec Święty nie mógł pozwolić mi na święcenia, i nawet nie mogłem przyjąć diakonatu, bo tam też trzeba było mieć tam te 22 lata, których ja nie miałem. Wobec tego byłem tak zwanym subdiakonem, czyli nie bardzo wiadomo, kto to jest. No i co? No, to wysłali mnie tam. No, miałem studiować na KUL-u, ale potem religia wróciła do szkół i powiedziano: no, to potrzeba ogromnej ilości katechetów. I wtedy już z tych studiów, na które się szykowałem, wycofano mnie, i do Skierniewic do pracy. No, ale co ze mną zrobić? Kleryk, nie jest to praktyka, bo studia skończone, seminarium skończone, koledzy są kapłanami. Więc dostałem nominację oficjalną na wikariusza, których oglądał i proboszcz i wikariusz, sami nie wiedzieli, co to jest, ksiądz, który nie jest księdzem, a jest wikariuszem. Parafianie też nie bardzo mogli zrozumieć, o co chodzi. Kiedy odwiedzałem mieszkania parafian: o, jak to dobrze, że ksiądz przyszedł, to nam poświęci obraz. A ja nie mogłem święcić obrazów. No, więc oni też nie wiedzieli, kto to jest, ale miałem ciężkie wtedy przeżycia. Tym niemniej w szkole to się nie odróżniałem od innych, chodziłem w sutannie, więc wszyscy mówili – ksiądz. Jedynie na ambonie, jak zostałem diakonem, pokazywałem się ze stulą taką przez ramię przełożoną. Księża, moi koledzy podpuszczali dzieci: zapytajcie tam księdza Jana, dlaczego on tak krzywo stulę nosi. Niech sobie poprawi. Takie były historie. Myślę, że nawet pierwszy sekretarz miałby kłopoty ze zdefiniowaniem. Było takie powiedzenie: „Ni pies, ni wydra”. To chyba zresztą pierwszy raz w historii diecezji było takie stanowisko. Tak, no, ale tam już wszedłem w tę pracę duszpasterską bardzo czynnie.

Bogdan Krawczyk: I jest takie zdjęcie z Księdzem Prymasem, tak?

Ksiądz Jan Sikorski: Zdjęcie z Księdzem Prymasem, takie, które było moją dumą, to było wtedy, kiedy na Boże Ciało – to jeszcze był rok pięćdziesiąty trzeci przed aresztowaniem – a ja już chodziłem wtedy w sutannie, jako bardzo młody chłopak, ale w sutannę odziany, miałem jeszcze nie tylko komżę, ale taką ozdobną bardzo kapę na sobie i taki welon, przez który niosłem pastorał przed księdzem prymasem. No, i to była wielka moja duma w czasie wspaniałej procesji Bożego Ciała. Miałem właśnie kilka zdjęć, gdzie właśnie byłem blisko Księdza Prymasa i tej całej świty, no i później już u Świętej Anny w kościele, gdzie Ksiądz Prymas przemawiał, to słynne, takie swoje bardzo mocne kazanie mówił. No, ja miałem przyjemność stać, że tak powiem, obok niego, czekając, aż poda mi ten pastorał. Więc to takie było dla mnie miłe wtedy jakieś wyróżnienie.

Bogdan Krawczyk: A co ze Skierniewicami?

Ksiądz Jan Sikorski: W Skierniewicach Ksiądz Prymas pojawił się na początku właśnie sprawowania tej mojej funkcji, ponieważ zaprosili go kolejarze na poświęcenie swojego sztandaru i on, ponieważ zatrzymali jego pociąg, kiedy jechał do Rzymu po kapelusz kardynalski, zresztą za co mieli potem ci kolejarze tam spore kłopoty no bo zatrzymanie pociągu w końcu, to nie jest drobiazg i specjalnie ze względu na Księdza Prymasa prosiłem o błogosławieństwo i Prymas mi wtedy obiecał, że przyjedzie na to poświęcenie sztandaru. Sztandar przygotowywali i Ksiądz Prymas odwiedził wtedy parafię. To było takie pierwsze spotkanie, no przy stole, w takiej już rozmowie, takiej swobodniejszej. Niewiele wtedy rozmawiałem, bo tam przecież był i ksiądz dziekan, proboszczowie, świta cała, więc ja

taki osesek młody niewiele miałem do powiedzenia w tym czasie. I później spotkania były regularne, o które Ksiądz Prymas się troszczył, żeby spotkania były z duchownymi. I raz po raz mieliśmy okazję słyszeć go, potem niezbyt często, ale również bywał w Skierniewicach. Najwięcej potem tych spotkań to było właśnie w ramach peregrynacji, przygotowania – przepraszam – do Milenium. Więc wtedy się jeździło tam. Jeżeli gdzieś Ksiądz Prymas miał być, no, to wtedy człowiek szukał tych miejsc, gdzie Ksiądz Prymas będzie występował i zawsze był przyjmowany z jednokowym aplauzem i z jednakową czią, wręcz nawet. Później, kiedy byłem w parafii Świętego Michała wikariuszem, już częściej przyjeżdżał do tej parafii. Zdumiewało mnie zawsze to, że kościół oczywiście wypełniony wtedy ludźmi, każde słowo było jakoś tak słuchane z uwagą. A potem, kiedy szedł na obiad Ksiądz Prymas i nieraz tam ta wizyta na plebanii się przedłużała, to ludzie jeszcze przy samochodzie potrafili godzinami całymi stać i czekać, żeby tylko spojrzeć na niego, jak będzie odjeżdżał sprzed plebanii. Nieraz jeszcze ofiarowali mu tam kwiaty. Pamiętam też uroczystość poświęcenia kościoła w Murzasichlu, właśnie w tymże Murzasichlu. Tam ten kościół nielegalnie był zbudowany. Wtedy wiem, że tam samochód ludzie chcieli nieść, podnosić do góry. No, entuzjazm był zawsze po prostu nieprawdopodobny. On po prostu elektryzował swoją obecnością ludzi, którzy go słuchali. Tak praktycznie było przez 30 lat, można powiedzieć. Właściwie to było tak cały czas. Zwykle zaczynał tam teologicznie, nieraz w sposób dość skomplikowany potrafił teologiczne rozważania snuć. No i tak wszyscy czekali, kiedy wreszcie powie tak, żebyśmy wiedzieli, że jest tu Ksiądz Prymas z nami razem i na bieżąco. I zwykle do tego dochodził i wtedy już jakiś Duch Boży go unosił, bo język był wtedy bardzo jędrny, był taki mocny, jakieś porównania, skojarzenia takie miał fantastyczne i entuzjastyczne. Nie było zwyczaju wtedy jeszcze tych oklasków, takich jak przy Ojcu Świętym, no, ale ten entuzjazm zawsze był ogromny. Dwie daty się nasuwają nieodparcie, jeśli chodzi o, można powiedzieć, popyt Księdza Prymasa – sześćdziesiąty szósty i siedemdziesiąty ósmy. Może spróbujemy spojrzeć na lata sześćdziesiąte i rolę Księdza Prymasa.

Bogdan Krawczyk: Również gdyby ksiądz powiedział, co się działo z obiecującym księdzem Sikorskim?

Ksiądz Jan Sikorski: To były lata wtedy Nowenny. Pamiętam, że Ksiądz Prymas właśnie do nas przed święceniami mówił: „No, wy jesteście pokolenie Milenium”. Wtedy wydawało mi się, że to Milenium to będzie, że ja nie wiem, czy ja dożyję do tego Milenium – bo to było kilka lat wcześniej: sześćdziesiąty szósty rok, a święcenia mój kurs miał w pięćdziesiątym siódmym, to ja w pięćdziesiątym ósmym – no, to zdawało mi się, że to będzie zupełnie nie wiem, kiedy. Jesteście kapłanami tej epoki tysiąclecia – ciągle to powtarzał. A potem już, kiedy byłem w parafii, troszeczkę nam to słowo „nowenna” i „przed tysiącleciem” już zaczęło nużyć, dlatego, że tych akcji duszpasterskich i listów duszpasterskich, których było dosyć dużo, które zawsze się słucha dosyć tak trudno, nie tak jak kazanie i tych uroczystości parafialnych było sporo, więc jak gdyby byliśmy już troszkę znużeni tymi akcjami duszpasterskimi. Nieraz nawet niektórzy trochę sceptycznie nawet na to patrzyli. Dzisiaj, z perspektywy, widzę, że to było po prostu genialne. I to właśnie, że te uroczystości były, że ci ludzie się spotykali razem, że razem się modlili, że zobaczyli siebie, że są w tak wielkiej ilości i że tworzą razem taką siłę wiary, to miało ogromne znaczenie. Ksiądz Prymas to czuł i widział, ale my, na co dzień pracujący w duszpasterstwie, zdawało nam się, że to duszpasterstwo jest codzienne, ono jest takie ważne, a to są takie jakieś wydarzenia wielkie. Aż wreszcie przyszły te chwile, już takie no, samego Milenium. No, i przygrywka uprzednia straszna, dramatyczna, – list biskupów do biskupów niemieckich. No, tu rzeczywiście zamieszanie było ogromne.

Bogdan Krawczyk: Raczej biskup Kominek miał tym większy udział, chyba?

Ksiądz Jan Sikorski: Ale to wszystko było właściwie pod egidą, mówiło się episkopat, i jakoś tam to wszystko firmował Ksiądz Prymas. Nie wszyscy tam wiedzieli. No, mówili, że to ksiądz biskup Kominek, że tam przekręcone tłumaczenia, i tak się to usiłowało to bronić. Tym niemniej, większość ludzi, zdecydowana większość, no, a już na pewno cała prasa oczywiście była przeciw. No, człowiek jednak tej propagandzie jakoś tam ulega, no, i to ciągle powtarzano, w czym imieniu ukazywały się artykuły nieustanne. Tym niemniej, mimo tych wątpliwości jednak, jak się te uroczystości milenijne odbywały, no to, frekwencja ludzi była po prostu niezwykła. Pierwsze takie miałem doniesienia właśnie z Poznania, kiedy tam urządzono te imprezy, takie alternatywne, w sposób taki dosyć bezczelny, a cały Poznań jakoś opowiedział się wtedy po właściwej stronie. I potem, gdziekolwiek uroczystości milenijne były, no to mimo tych przeszkód odbywały się bardzo tak szumnie. No, i najciekawsze było właśnie to, co się działo w Warszawie, kiedy było to nawiedzenie obrazu Matki Bożej i przyjęcie tego obrazu, i tu na Placu Zamkowym i Starym Mieście te uroczystości się odbywały. No, i wtedy ta inwazja ubowców, których tak pamiętam, mam ich przed oczyma, bo byłem tam wtedy. Pamiętam, podchodzę, ulica Daniłowiczowska i patrzę: panowie – wtedy takie były modne te płaszcze, to się pokazały tak zwane ortaliony.

Bogdan Krawczyk: Szeleściły, tak?

Ksiądz Jan Sikorski: Szeleściły, tak strasznie. I nagle patrzę i stoi taka cała armia mężczyzn w ortalionach i z parasolkami. No, i jeszcze pamiętam, że wtedy przechodzę i aż tak głośno się odezwałem: ojej! Jakaś pani przechodzi obok mnie: „Proszę księdza, zjazd filatelistów” – odpowiedziała. Zabrzmiało to rzeczywiście bardzo surrealistycznie. No, i później na placu, prawda, tutaj ci stoją nasi panowie ze służb takich porządkowych, tutaj ci, no, tam milicja gdzieś w tle, ale głównie właśnie ci poprzebierani panowie w ortalionach. No, i zaczyna się robić ten taki niesamowity szum. Właśnie ksiądz Chowańczak, z którym byłem w Komańczy, wtedy miał jakąś rolę taką, że miał tam zabezpieczać te tereny koło katedry i mówi, że wszystkie ulice, nagle się znalazł na rynku Starego Miasta i miał prowadzić całą tę grupę biskupów i nie mógł ich tak, żeby z katedry przeszli do pałacu prymasowskiego. No to mi opowiadał bezpośrednio zaraz po tym i mówi: „Słuchaj, no, nie mogłem przeprowadzić, bo wszystkie ulice były zablokowane tymi neo-filatelistami, którzy tam stali z tymi parasolkami”. Mówił mi właśnie, że w jednym momencie jakieś tam panie się znalazły koło nich i że miał taką trochę złośliwą satysfakcję, bo któraś z pań obok, taka zażywna jejmość, tłukła tego ortalionowca, wzięła go za włosy, on pisał strasznie. Tym niemniej, za nim stały dalsze szeregi, nie puścili tych biskupów. I dopiero on sam, który był dość dobrze zorientowany warszawiak i obyty z tamtymi terenami – już nie pamiętam, w które miejsce – ale mówił: „Wiesz, coś mnie tknęło, żeby ich przeprowadzić właśnie tędy”. I rzeczywiście znalazł jakąś szparę, która nie była chroniona przez tych przebranych funkcjonariuszy. I udało się, udało się przeprowadzić ich właśnie w stronę Miodowej. Tak że właśnie doszli potem już do siedziby Księdza Prymasa. To taka była przygoda i relację taką na gorąco, to zaraz potem po uroczystościach opowiadał, jak to było. To była ofensywa jednak gomułkowska straszna – Straszna była. Hasła były różne: „1000 szkół na tysiąclecie”. Jakoś dać przeciwwagę temu. Zresztą i te przemówienia Gomułki były zupełnie dramatyczne. To słuchało się już tego z przerażeniem, po prostu, z politowaniem może bardziej niż z przerażeniem, bo no, cóż, dla nas młodych miało to charakter pewnej takiej gry no, w cudzysłowie sportowej troszkę. Sportowiec Szpotański zapłacił trzema latami uwięzienia

za przedrzeźnianie. Było i tak. Bo to wtedy oni całkiem na serio mówili. I pamiętam też, jakie nastawienie ludzi było, że przykro powiedzieć, ale w katedrze coś tam poknocił z wentylacją, i kiedy było przewidywanie, że będą tłumy ludzi, że to będzie długotrwałe, będą długotrwałe te uroczystości, trzeba było o wentylację zadbać. I proboszcz katedry wpadł na genialny pomysł, wziął do kija przywiązał młotki i ludzie chodzili po prostu, bo nie było wyjścia i ten najniższy – to nie były witraże – najniższe szyby, po prostu wyflukł. No, w końcu ludzie ważniejsi niż szyby. No, i wtedy ludzie to komentowali: „Co tutaj się dzieje?” „Ach, tak, rozumiemy. Wentylacja”. Cokolwiek było, brali to wtedy. Wietrzenie miało swój wymiar. Swój wymiar, tak. Tak że to takie obrazki, które zapamiętałem, takie troszeczkę właśnie nieistotne, ale nadające taką pewną barwę. Natomiast cała ta taka poważna strona, i historyczna taka, odpowiedzialności za naród, za historię, to docierało do ludzi. I jeszcze jedno. Że to, co myśmy tak już trochę mieli pewien przesyt tych różnych uroczystości przedmilenijnych, to pamiętam, sam prowadząc katechezę, odbywały się takie czuwania, nocne czuwania, omawialiśmy wtedy te ślubowania z ludźmi, te przyrzeczenia tam w kościele były powtarzane. One jednak wytworzyły taki właśnie klimat tej odpowiedzialności za czasy, za historię, za naród, za wszystko, co się dzieje w tym czasie wielkiego. Mogę tylko potwierdzić, bo byłem rocznikiem maturalnym i parafia Świętego Wojciecha na Woli, to moja parafia wtedy była, tak że pamiętam te dyskusje – na co tam dużo mówić – światopoglądowe, w tym sensie, że to był pogląd na resztę życia. Jak ktoś uwierzył, to już nigdy nie zwątpił. To gdzieś tak podskórnie, bardzo umacniało wiarę. Pamiętam, jeszcze jako katecheta przygotowałem taką uczennicę swoją do pierwszej Komunii Świętej, bo była już w liceum, więc już starsza, ojciec był majorem, potem pułkownikiem. No, i tak ta Komunia Święta nastąpiła, ona była, pamiętam, bardzo zaangażowana. No, i kiedyś tam było czuwanie długie godziny wieczorną, wiem, pamiętam, tak jak ona tutaj niedawno co dopiero taka katechumenka stała z tą świecą: „Królowo Polski, przyrzekamy”. Myślę sobie: „Boże, gdyby tak ojciec zobaczył”. No, i rzeczywiście jakoś tam się dowiedział, że ona była w kościele na czuwaniu, no, i potem przyszła zapłakana, że ojciec mówi, że mnie wydziedziczy w ogóle z rodziny mojej, że stracę prawa rodzinne. No domyślam się, że tam pewnie chodziło o gest wobec współkolegów wojskowych – to jeszcze było w Skierniewicach – pokazać, że właśnie on jest jakoś tak zdystansowany do tego. No, tym niemniej były takie bolesne rozgrywki. Były rozdarte rodziny, tak zresztą, jak całe to państwo było przeżarte tą czerwoną zarazą, o której powstańcy śpiewali. Tak. „Nie chcemy komuny, nie chcemy i już, nie chcemy ni sierpa, ni młota. Za Katyń, za Grodno, za Wilno, za Lwów zapłaci czerwona hołota”. Tak, przeskoczmy w takim razie do pogodniejszych – tak się mówi – lat siedemdziesiątych, które też nie były – tak patrzę, bo mamy siedem minut – wolne od propagandy, ale to już była inna propaganda, ten Gierek już był inny. No, i siedemdziesiąty ósmy, po tym siedemdziesiątym szóstym, to, że tak powiem, jak dar z niebios. Te czasy już takie były troszkę, to, co się mówiło wtedy, taka mała stabilizacja, ludzie jakby się poczułi już troszeczkę lepiej, swobodniej. Przez rolę Księdza Prymasa jeszcze spojrzeli na końcówkę lat siedemdziesiątych, nie tylko na Stolicę Piotrową, chociaż o tym nie sposób nie mówić, ale również, jakby na znaczenie swojego następcy. Jak to jest, bo o ile Hlond upatrzył księdza Wyszyńskiego dosyć wcześniej i młody ksiądz dostał tę nawę narodową, że tak powiem, w czterdziestym ósmym. Młody, tak. To było jednak bardzo duże ryzyko wtedy, biorąc pod uwagę młody wiek.

Bogdan Krawczyk: Jak tutaj wyglądała zmiana warty?

Ksiądz Jan Sikorski: Tu staliśmy w takiej, pamiętam, sytuacji, że oczywiście w ogóle sama śmierć księdza kardynała, który wydawał nam się wieczny, była dla nas czymś po prostu przerażającym. Wprawdzie już był Ojciec Święty

i wiadomości o stanie zdrowia Księdza Prymasa i o tym, co on czyni, jakoś nakładało się na to, co czynił Ojciec Święty. Wtedy byliśmy już jakoś bardzo mocno podbudowani. Wiedzieliśmy, że ten nasz los nie będzie tak dramatyczny. Te nadzieje były rozbudzone bardzo. No, tym niemniej zdawało się, że Ksiądz Prymas będzie żył wiecznie. No, bo wiadomo, że zawsze w Polsce to jest Ksiądz Prymas.

Bogdan Krawczyk: Ksiądz czym się wtedy zajmował?

Ksiądz Jan Sikorski: Ja byłem wtedy ojcem duchownym w seminarium, i akurat w momencie, kiedy Ksiądz Prymas umarł, dowiedziałem się o tym, będąc na takim krótkim wyjeździe z klerykami w lesie. I tam gospodyni nam powiedziała: „Coś przez radio mówili, że jakiś biskup umarł, czy to nie prymas?” I potem właśnie to wiedzieliśmy, że tak. Trzeba było natychmiast wracać do Warszawy. I potem w kościele seminaryjnym tak dyżurowałem, przyjmując całe rzesze, no zwłaszcza kapłanów, którzy wtedy z całego świata przyjeżdżali. Trumna była złożona właśnie w kościele seminaryjnym. I ten nastrój ludzi stojących godzinami przed kościołem, no, był po prostu zdumiewający. Ktoś z moich znajomych tam przyszedł, mówi: „Chciałbym tam się dostać, nie mogę tego czasu czekać”. Ja mówię: no, może tu się jakoś uda, gdzieś, tak. To w końcu tam jedna, dwie czy trzy osoby – już nie pamiętam. I wyszliśmy i jak zobaczył tych ludzi i mówi: „Nie, ja stanę na końcu”. Koniec, którego w ogóle nie było widać. To było gdzieś tam, daleko, daleko, na Krakowskim Przedmieściu, To skupienie, ta modlitwa, ten duch takiego prawdziwego hołdu składanego Prymasowi. To nie było tak, jak przy śmierci Ojca Świętego, to nieporównywalne, ale po raz pierwszy w czasach komunistycznych przeżyaliśmy właśnie coś takiego, taka Solidarność – no, pomijam oczywiście wybór Ojca Świętego – ale w związku z Księdzem Prymasem i z tym, co widziało w Warszawie, to takiego przeżycia właściwie, Warszawa nie miała. Przedtem była Solidarność. To to był osiemdziesiąty pierwszy. To już był osiemdziesiąty pierwszy, to już było po wydarzeniach Solidarności, ale mówię w sensie religijnym, to rzeczywiście to było takie budujące, zdumiewające. Jakbyśmy spojrzeli na taką relację albo, nie wiem, punkt odniesienia: Ksiądz Prymas a ruch Solidarność. To wybuchło niespodziewanie rok wcześniej. To wybuchło niespodziewanie i tutaj był taki pewien moment zagadkowy. Mianowicie, Ksiądz Prymas przemawiał w Częstochowie, wygłasza przemówienie, kiedy już te strajki się rozpoczęły, i niestety nie zajął wtedy takiego wyraźnego stanowiska pro. Ksiądz Prymas bardzo lękał się – po wszystkich wydarzeniach, które były – bał się i widział, że ten rozwój jakiś, ta sytuacja jaka jest, zmierza w możliwie dobrym kierunku, że to się wszystko jakoś stabilizuje, bał się, – tak jak przypuszczam – żeby to nie przybrało jakiegoś charakteru takiego krwawego.

Bogdan Krawczyk: Żeby z tego nie wyrosła rewolta?

Ksiądz Jan Sikorski: Żeby z tego nie wyrosła jakaś chyba rewolta. Poza tym Gierek – tak mówiono przynajmniej – że jakoś zapalał wielką miłością do Księdza Prymasa i kiedy był już taki bardzo tym wszystkim znękany, ponoć prosił o spotkanie z Księdzem Prymasem, jakoś tam się bardzo wyplakał. I wydaje mi się, że ten osobisty kontakt jednak jakiś ślad na już dość leciwym Księdzu Prymasie zostawił. Pewnie go nawet może osobiście prosił o pewien spokój, zresztą, co było jakoś po linii Księdza Prymasa, bo on nigdy przecież nie nawoływał do jakichś takich rozruchów. I wtedy właśnie użył tego określenia, żeby wrócić do pracy, do domu. Wiem, że wtedy odebraliśmy wszyscy jakoś bardzo te słowa z dystansem dużym, ze zdziwieniem dużym, mówiąc delikatnie. Trzeba wprost powiedzieć, nie takich słów oczekiwano. Nie takich słów oczekiwaliśmy. Wtedy pamiętam, nawet my księża w parafii Świętego Michała

byliśmy pod przewodnictwem proboszcza, który był prawą ręką Księdza Prymasa, ks. Paweł Piotrowski. My żeśmy to wprost powiedzieli. On sam też nie ukrywał, że nie był zadowolony. Natomiast potem, pamiętam, miał Ksiądz Prymas wystąpienie w Zalesiu Dolnym. Ale to jest Zalesie Dolne i przemawiał w zupełnie innym stylu. I właśnie proboszcz mi powtarzał to, że potem powiedział Księdzu Prymasowi: „No właśnie, tego oczekiwaliśmy”. A on mówi: „Szkoda, że tego nie było tam”. Tak że sam uznał, że to jakoś tak. W pierwszej chwili, ale to tylko moment takiego zachwiania, jak gdyby niezrozumienia. Trudno mówić niezrozumienia. Coś się zaczęło dziać i nikt nie wiedział co. Ale to było tylko, że tak powiem, jedno to wystąpienie, które takie troszeczkę było kontrowersyjne, natomiast potem już te wszystkie inne, Ksiądz Prymas dość wyraźnie, jak zawsze stał po stronie ludzi i po stronie tych dążeń wolnościowych, praw człowieka i tak dalej. To już potem wszystko było w porządku, chociaż wiadomo, że siły jego już słabły, a później już przyszły wydarzenia związane z Ojcem Świętym, więc jak gdyby to zeszło na dalszy plan. A potem już tylko patrzyliśmy. Trochę trudno komentować, ale jest to symboliczne zdjęcie Prymasa Tysiąclecia z Janem Pawłem II. No, to się uważa, że to jest taka „Pieta” współczesna. I to zdjęcie, które zresztą zostało jakoś przekłute na rzeźby, pomniki, tak dalej, ono bardzo oddaje właśnie tę wzajemną ich relację. Bo jednak Ojciec Święty, papież, głowa Kościoła, ale tutaj klęka właściwie przed Prymasem i później te jego słowa: że nie byłoby na Stolicy Piotrowej papieża Polaka, gdyby właśnie nie jego postawa. I myśmy to czuli, że on mówi to, co wszyscy żeśmy przyjmowali za swoje. Tak, no, to były te słowa, których nawet nie sposób podważyć. Natomiast, kto będzie następcą, zupełnie nie mieliśmy rozeznania, i księża gubili się w domysłach. Ja też akurat pamiętam, kiedy się dowiedziałem o tym, byłem na Mazurach znowu też z klerykami na jakiejś rowerowej wyprawie, i tam właśnie dowiedzieliśmy się – we Fromborku czy gdzieś – właśnie, że zostaje biskup.